

Anna Kozicka-Kończowska



Anna Kozicka-Kończakowska
„Ekstrawagantki”

Copyright © by Anna Kończakowska, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
Korekta: Paweł Markowski
Zdjęcia na okładce: © Tshirt-Factory.com – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-240-5

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

„Strzeż Panie Korony Polskiej
Niech się z Twojej obrony cieszy”

Doskonały kancjonał polski, Brzeg 1673

„Nie masz dziś w Polsce jedno kupce i rataje
To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły
A do Gdańska na drogę z żytem i popioły”

Jan Kochanowski

*Pamięci anonimowej mieszczyki, która, jak
wspominają niektóre kroniki nazywając ją kobietą
nawiedzoną, w roku 1675, podczas parady
w Legnicy, wieszczyla z rozpaczą rychłą śmierć
piętnastoletniego księcia Jerzego Wilhelma*

SPIS TREŚCI

| | |
|--------------------------------------|-----|
| Carolina Conti | 7 |
| Laska z czarnego hebanu | 18 |
| Wahadełko i kolor budyniu | 26 |
| Vade-me-cum | 32 |
| Szept w alabastrze | 36 |
| Luiza żona Piasta | 51 |
| Głogówek | 56 |
| Królowa Gonzaga | 63 |
| Zdrój Londek | 68 |
| Ostrów czyli wyspa | 73 |
| Profesor Kolbusz | 79 |
| Fatum i dziedzictwo | 92 |
| Jedwabny szal | 97 |
| Betty z Berlina | 107 |
| Śmierć w Krypcie Piastów | 115 |
| Posagi i mariaże | 137 |
| Detektyw Hildegarda Gonska | 146 |
| Quaerite | 154 |
| Kryminalni | 170 |
| Wesele u Wirtembergów | 179 |
| Napad na Biskupinie | 186 |
| Dział starodruków | 204 |
| Menuet z jezuitą | 211 |
| Tajemnica marszałka Beme | 218 |
| Akrostych dla Luizy | 224 |
| Wizyta | 233 |

| | |
|---|-----|
| Miłość na gołębach skrzydłach | 236 |
| Jajko Faberge | 240 |
| Prezent z wirtualu | 248 |
| Ukryte portrety | 252 |
| Do trzech razy sztuka | 261 |
| Regentka | 270 |
| Śluby | 275 |
| Zakon Czaszki | 280 |
| Awantura łąziebniczki z Krakowa | 286 |
| Błazeńska czapka | 290 |
| Różowa perła | 295 |
| Tęsknota | 302 |
| Paszkwilanci | 310 |
| Szynkarka | 316 |
| Wieczór w karczmie „Pod złotym dziobem” | 319 |
| Anusia | 326 |
| Spisek | 330 |
| Sztuczka Przybka Chorągiewicza | 336 |
| Pasja księdza Kapusty | 345 |
| Najsłodsza Karolina | 355 |
| Szyfry | 367 |
| Leos | 376 |
| Testament | 381 |
| Rydwan Faetona | 383 |
| Fryderyk | 385 |
| Gorzki smak ciocolatty | 388 |
| Pożegnanie | 391 |
| Noc w klasztorze | 393 |
| Elvis i gangsterzy | 398 |
| Złota Bulla | 414 |

| | |
|------------------------------------|-----|
| Klasztorne stropy. | 422 |
| Wrocław, 24 grudnia 1707 | 427 |
| Koncert w Leopoldinie | 430 |
| Wrocław, grudzień 2009. | 437 |

CAROLINA CONTI

Elvis stał na parapecie i świdrował pomarańczowym oczkiem.

– Dziń dobry! – w pustym pokoju rozległ się znie-nacka całkiem zrozumiały skrzyp. Ten rodowity Włoch mówił po polsku. Drzwi jego domku też były otwarte.

– Elvis? – odcyfrowałam z nich napis wygięty ze złotego drutu.

– Elvis! Elvis!

Z łazienki dochodził szum wody i pełna wyrazu pieśń:

– Pleziiir daaamuuuur... laala laala laaa...

Mój gruczoł krytycyzmu z miejsca dał o sobie znać. Przecież to klasyka. Kobiętka pluska się pod prysznicem albo pławi w wannie rozkosznej piany. Gdy szampon zalewa jej oczy, do apartamentu zakrada się dusiciel. Szum wody zagłusza kroki. Po wszystkim woda leje się do oporu. A poza tym, to ja z nas obu byłam od śpiewania.

Zapaadłam w śliski, chłodny fotel ze skóry. Po chwili w drzwiach łazienki, pierwszy raz w realu, ujrzałam Lolę. Bez scenicznego makijażu, w stroju skomponowanym z ręczników. W turbanie na głowie i przepasce wokół bioder wyglądała jak współczesna wersja żony faraona. Ręcznik w charakterze etoli nie krył dostatecznie jej bajecznych kształtów z epoki przedfotoszopowej.

– Nic dziwnego. Dla modelki paradowanie na golasa, to bułka z masłem – pomyślałam.

– Jesteś! Moja droga... – rozpromieniła się.

Uściskałyśmy się.

– Wiesz, że całkiem niedawno, co za różnica, dwadzieścia lat, czy tydzień temu, zwymiotowałam na mój puchaty, seledynowy sweterek? – przyglądała mi się z uwagą.

– Nie przejmuj się. Już wtedy zazdrościłam cię twojej matce. Nie miałaś roczku, gdy wyjechałam do Mediolanu. Jesteśmy na ty, zgoda? – zaproponowała.

– Okej! – wydukałam, patrząc jej prosto w oczy.

– Mama mówi o tobie per Lola – przyznałam.

– Proszę bardzo, możesz tak do mnie mówić. Zadowolona jesteś z pokoju? Masz taki, jak chciałaś. Od ogrodu.

– Dzięki.

– Która to godzina? Żebyśmy się nie spóźniły na śniadanie! – Lola złapała komórkę z toaletki. Zatrzepotała powiekami. Pewnie zapomniała, że nie ma okularów, ale do porażki się nie przyznała.

Rzuciłam okiem na swój czasomierz noszony wciąż tradycyjnie na przegubie.

– Dziewiąta – podrzuciłam z litości.

– Zuch z ciebie. Chyba musiałaś wyjechać ze stolicy w środku nocy.

– Niespecjalnie... – nie było sensu na wejściu zwierzać się z bezsenności moich ostatnich nocy i, że od miesiąca mieszkam sama.

– Już się ogarniam! Oczywiście, zasnęłam.

Włączyła radio. Hotel „Angelus” trzymał standardy. Liczył nie tylko na oglądaczy obrazków.

– Dzieci na Warmii i Mazurach mają kłopoty z uzębieniem! – zapodał radosnym tonem entuzjastyczny prezenter miejscowej stacji.

– Kłopoty... Zdumiewająca ścisłość informacji. Jakże cenna wiadomość dla mieszkańców Dolnego Śląska. Tylko, co z dziećmi w pozostałych regionach kraju? – zaiskrzyło w mojej głowie.

– Moment! – Lola wyszła do łazienki i wróciła z tubą pomarańczowego balsamu.

– Nie lubię docierać się ręcznikiem. Nasiąkam – wyjaśniła.

– Wiem, świetne na skórę – skwitowałam fałszywie.

Słowa „piękna” i „skóra” działały na mnie od dawna jak płachta na byka, ale od miesiąca czułam się z tym jeszcze bardziej głupio. Konkretnie, od czasu gdy na stacji benzynowej zwróciłam uwagę na czułe pożegnanie pewnej pary. Najpierw poznałam ją. Dominikę. Najbardziej tępe i najnudniejsze stworzenie jakie w życiu znałam, niezdolne przebić się do drugiej klasy ogólniaka. Na tyłach stacji benzynowej w Jankach całowała się upojnie z jakimś, zapewne godnym jej, dupkiem. Zupełnie przypadkowo znalazłam się tam w cudzym aucie, w roli doradcy przy zakupie sypialni. Zanim Mariolka wróciła z kasy i zanim odzyskałam władze umysłowe, zakochani wsiedli do swoich aut i rozjechali się w przeciwne strony. Dupek Dominiki był moim ślubnym, inteligentnym, ukochanym mężem.

cc, czyli Carolina Conti wyciskała z tubki balsam o smaczkowym kolorze, przed lustrem osadzonym w drzwiach szafy. Peszył mnie ten narcystyczny seans.

– Teraz wypuśćmy balony z przesłaniem dla świata i krzyknijmy z całej siły, co tylko nam przyjdzie do głowy! – w radiu wyzwolona nauczycielka dopingowała podopiecznych.

– Za moich czasów dzieciom nie powinno było przychodzić do głowy byle co. Jeśli już nawet przyszło, to na pewno nie wykrzykiwały tego z całej siły. Nie słyszało się o takich rzeczach. Nawet, kiedy udawało się coś wyłowić z szumu fal radiowych. Bo radia były akurat okropne! – skomentowała Lola.

– A jednak, nie żałuję, że nie muszę wrzeszczeć byle czego z okazji byle jakiego święta – dodała z szerokim uśmiechem. I to od razu polepszyło mi humor.

– Czy to są piersi sześćdziesięciolatki? – zapytała nagle bez ostrzeżenia, prężąc gors.

Nasze oczy spotkały się w lustrze.

– Rzeczywiście – wymamrotałam bez sensu.

W gruncie rzeczy, nie było o co się zżymać. Po prostu Lola miała za dużo czegoś, czego ja ostatnio miałam za mało. I nie chodziło o bujny biust. Tylko o to, że to ona właściwie była stara.

Skóra Loli osiągnęła w końcu dostateczny stopień nawilżenia. Jej właścicielka zwinęła na sprężystym popiersiu gruby węzeł monstrualnego ręcznika, choć na pewno w luksusowej łazience apartamentu wisiał szlafrok.

– A właśnie, czemu zostawiłaś otwarte drzwi? Nieźle, jak na dziennikarkę śledczą.

– Spokojnie. Pod prysznic wskoczyłam dopiero, gdy pipnęłaś, że jesteś na parkingu – Lola znowu zniknęła w sypialni.

Podeszłam do okna. Miało się stąd piękny widok na ulicę Katedralną, u końca której majaczył fragment mostu na Odrze. Na parapecie dostrzegłam małe, szare kropki. Niewątpliwe dzieło Elvisa.

– Czy to jest higieniczne, tak mu pozwalać na loty po apartamencie? – zagadnęłam.

Coś mnie kusiło, choć ptak był świetny.

– Och, daj spokój. Wystarczy, że przetrę kawalkiem papieru – Lola zlekceważyła moje zastrzeżenia.

– On też sika – zauważyłam.

– Mówisz, jakbyś sama nie robiła kiedyś w majtki. Jeszcze świetnie pamiętam, ile pieluch naprała się twoja matka. I to było nieco większe niż kupka małego ptaszka – Lola wyszła z salonu w bieliźnie i już bez ręcznika na głowie.

– Ale ja nie latałam pod sufitem!

– Dobrze już, dobrze, mała. Cieszę się, że jesteś w naszym timie – wróciła na chwilę do sypialni i położyła przede mną laptopa. Z lakierowanej torby z imitacji zielonego krokodyla wygrzebała pent drajwa wielkości tipsa.

– Betty przyjeżdża w piątek. Do czwartku powinna uporać się z egzaminami na „uni”. Pojedziemy bez niej na konferencję, trudno. Tym lepiej, że jest nas teraz trójka.

– Spójrz, co mamy na początek – zastukała w klawisze. Komputer zaczął poranny rozruch.

– Gdy Betty przysyła mi coś, co jest dla niej ważne, to pakuję walizy i zjeżdżam do ojczyzny przez pół świata – mrużyła oczy przed ekranem.

– Powiedziałam jej o twoim hobby. Raquel, sorry, matkę Igę vel Jadwigę, ozdobę mojego dzieciństwa zna zresztą od dawna z moich opowiadań – wyjaśniła.

Komputer wreszcie skończył tę zawsze zbyt długą guzdraninę.

– Patrz. I, à propos naszych przymiarek, wysłała mi coś takiego. Od gościa stąd zresztą, niejakiego Kolbusza. Ta ma nosa, kogo wypytać! – laptop wreszcie dobierał się do poczty.

– Kazimierz Kolbusz? Znam profesora. Ojciec się z nim przyjaźnił – ucieszyłam się.

– Choć tam zdaje się była spora różnica wieku. Jak w przyjaźni mistrz i uczeń. Tata był młodszy, oczywiście. Niestety, był... Dobrze, że chociaż Kolbusz żyje – westchnęłam.

Lola kasowała spamy i kuszące propozycje.

– Ja wtedy miałam może z dziesięć lat. Potem wróciliśmy ze Śląska do stolicy.

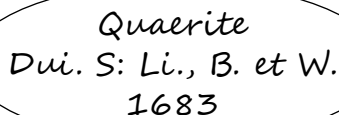
– Tacy faceci, jak Kolbusz, mają niezłą orientację. Wiek ich się nie ima. Wiesz, bezustanny trening mózgu. Ponoć od razu skojarzył nazwisko Betty z naszymi książkami.

– Bo one są cudne! – zachwycałam się naprawdę szczerze.

– Mojej roli nie przeceniaj. Po prostu robię zdjęcia – Lola zareagowała gwałtownie. Jednak skromność nie była jej obca, choć od dwudziestu lat była równie wziętą fotografką, jak dawniej modelką. Nie zawsze nawet było mnie stać na ekskluzywne pisma, niesamowicie ciężkie od luksusowego papieru, które zamawiały jej aranżacje.

– Powiększ sobie obraz – Lola oparła stopę o fotel i zaczęła nakładać pończochy. W świecie naprawdę eleganckich kobiet te rzeczy wciąż były aktualne. Pas do pończoch, batystowa chusteczka w torebce, jeszcze nie zastąpiona przez paczkę higienicznych.

Patrzyłam na owalny szkic:



Quaerite
Dui. S: Li., B. et W.
1683

1906

- Moneta?
- Coś w tym rodzaju. Jakby pieczętka, stempel.
- Quaerite... – odcyfrowałam niepewnie.

Identyczny dreszcz jak dwa lata temu przemknął mi przez plecy. Od tamtego, listopadowego popołudnia, sprawy ludzi sprzed trzystu lat były moimi sprawami.

Pośrodku stempla widniały skrót, też z mojej bajki. I to łacińskie słowo. Zagadka pewnie niezbyt trudna dla kształconych w normalnych szkołach.

- Quaerite... – tak się zaczyna. Zdaje się, że to znaczy – głowa barbarzyńcy wyprodukowanego w szkole dla ludu – z bólem szperała po zakamarkach pamięci.

- Quaerite et invenietis... Szukajcie, a znajdziecie – tym razem Lola wykazała się miłosierdziem.

- Po prostu cytata z Biblii.

- I Kolbusz uznał, że warto to wysłać.

- Wie, że Betty lubi zagadki. A ta jest, zdaje się, na interesujący nas temat.

- Szukajcie – wiadomo. Wprost powiedziane. Możemy szukać, proszę bardzo.

- Jaśniej nie można. A teraz to:

Dui. S: Li., B. et W.

1683

- Chyba się domyślam – paliłam się.
- Lignic, Breg i Wolow!!! – wprost kurzyło mi się z czaszki.
- Nieźle, nieźle, maleństwo – pochwaliła mnie z uśmiechem Lola.

– Czyli Legnica, Brzeg i Wołów. Nie może o nic innego chodzić, jak o trzy piastowskie księstwa! W tym 1683 jeszcze istniały.

– Otóż to. Słusznie profesor wykoncypował, komu się ten szkic należy.

– A to „Dui”?

– To jest znak zapytania, ale niewielki.

– Może chodzi o słówko „dux” – książę? – podsunęłam. Jednak coś zawsze się wysupła, gdy podrażnić inteligencję. Zrobiło mi się gorąco. Czytałam ten kod. Może nawet ktoś szeptał mi go do ucha.

– Ciepło, ciepło. Albo „ducissa” – księżniczka. Często skracało się łacińskie, dłuższe słowa. Na medalach, pomnikach, monetach, gdzie jest mało miejsca, pisze się skrótami. I tak, wszyscy wiedzą, o co chodzi. Podobnie, jak z adresowaniem kopert. Już rzadko kto pisze na kopercie „Szanowny Panie”, tylko umieszcza Sz.P. i wszystko jasne.

– Wykuć w kamieniu trzy litery zamiast siedmiu, to różnica.

– Myślę.

– Może to być i „duc.” – zgodziłam się.

– Jednym słowem, albo chodzi o księcia – brzeskiego, legnickiego, wołowskiego. Po łacinie: Lignicensis, Bregensis et Wolawiensis. Albo o taką samą księżniczkę. Zostają jeszcze te dwie daty. Tu całkiem nic mi się nie składa.

– Ani mnie – wyznałam z żalem, bo nie szło najgorzej.

– Na razie musimy sobie darować – Lola powstrzymała mój wyjściowy napęd.

Rozczesywała gładko obcięte włosy szerokozębnym, zabawnym grzebieniem. Błyszczały, zupełnie nie jak u ofiary

fryzjerskich sztuczek, jakimi bywają osoby jej profesji i wieku. Coś było na rzeczy z tym biustem.

– Doszliśmy z Raquel do wniosku, że musiałaś wziąć ze mnie pasję do historii. Jakąś podobną cząsteczkę – uśmiechnęła się.

Raquel. No właśnie. Znalazłam kiedyś w matczynej toalecie małe, okrągłe lustro. Jego tylną ściankę zdobiła czarno-biała, nieostra foto bogini lat sześćdziesiątych o jaskrawoczerwonych ustach, podkolorowanych farbą.

– W końcu podczas zjeżdżania rowerem po schodach, pożywiania się w szałasie z okiennych zasłon w ogrodzie i roztrząsania kroju modeli opalaczy z kretonowych szmatek, taka cząsteczka może się przerzucić! – popisałam się znajomością najmilszych chwil biografii swojej rodzicielki.

– Zresztą, może tylko bym tak chciała, bo nie mam własnej córki – Lola wsuwała stopy w świetne, wąskie, białe buty na prawie płaskim obcasie.

– Betty nie ma, zdaje się, w ogóle żadnych dzieci.

– A mój Gabryś jest nieodrodnym synkiem tatusia. Wybiera przyszłość – Lola dopięła zamek dopasowanej, białej sukni, która odsłaniała opalone ramiona. Na fotografiach jej modelki świat podziwiał ostatnio słońce Afryki.

Z głębi apartamentu rozległ się nagły rumor. Lola skoczyła do łazienki.

– Niech to! Aga, moje oczy! – wrzasnęła.

Krew ścięła mi się w ciele jak jajko po benedyktyńsku we wrzątku z octem. Ruszyłam wreszcie na ratunek.

Lola schylała się nad klopem.

– Wpadły mi! – jęczała.

– Jakim cudem? – ryknęłam. Wpiłam się wzrokiem w głąb muszli, ale nie widziałam tam żadnych ludzkich elementów, tylko małe, plastikowe pudełeczko. Pojemniczek na soczewki, które w porcelanowej toni pływały sobie pewnie jak wolne meduzy w oceanie. Podłoga łazienki usiana była kosmetykami. Na skraju umywalki stał Elvis i rezolutnie lustrował ten krajobraz.

Parę minut później jechałyśmy przezroczystą windą do restauracji kipiącej świeżymi kwiatami i bukietem wykwintnych zapachów. O późnej, jak na śniadanie, porze, zajęte były zaledwie dwa stoliki. Lola bez wahania ruszyła ku oknu.

– Lubię mieć podgląd sytuacji – powiedziała i położyła półmisek ze śniadaniem po tej stronie stolika, z której miała widok na restaurację.

– Czy nie utopiłaś przed chwilą w kanalizacji swoich soczewek? – palnęłam. Sama też lubiłam obserwować.

– Skoczę zaraz do apteki. A okularów nie założę – odcięła się szeptem.

– Zresztą nie jest tragicznie. Zarysy widzę – dodała.

Pyszne. Warto zapamiętać. Wystarczy, że nie jest tragicznie.

Do restauracji weszła starsza kobieta w rogowych okularach, w stroju przedwojennej harcerki. Miała na sobie męską, flanelową koszulę, spodnie w drobną kratkę, a na nogach przedpotopowe, turystyczne buty. Zdziwiłabym się, gdyby taki typ jak ona, nie nosił na ręku męskiego, cebulowatego zegarka. Oczywiście, miała taki.

Skinęła głową kelnerkom i rozejrzała się żywo po sali, zapewne też po raz pierwszy. Po chwili rozłożyła się przy sąsiednim stole. Na głowie miała niegdysiejszą fryzurę z warkoczy

okręconych wokół głowy. Były zaskakująco grube, siwe i pewnie niewiarygodnie długie. Spojrzałam na wyrafinowany strój Loli. Możliwe, że cc wcale nie była młodsza od tej starej harcerki, tylko nie dawała tego po sobie poznać.

Podeszła do nas kelnerka o włosach koloru ćwikłowego buraka. Odważny odcień był przeciwieństwem ich grzecznego ostrzyżenia i równo przyciętej grzywki.

– Teraz włosy – pomyślałam.

W zachowaniu siwej kobiety o niesamowicie długich warlockach było coś intrygującego, przykuwającego wzrok. W porze śniadania postawiła przed sobą talerz ze sporą, wędzoną rybą. Przysięgłabym, że ja takiej ryby w bufecie nie widziałam. Ona przyglądała się jej przez chwilę, po czym wyjęła z kieszonki koszuli przezroczystą kulkę wielkości włoskiego orzecha, zawieszoną na srebrnym łańcuszku.

– Lubię sprawdzić, czy mogę coś zjeść – wytłumaczyła w naszym kierunku. Pewnie zauważyła, że filiżanka z kawą znieruchomiała w moim ręku.

– No tak, zdrowe odżywianie i te rzeczy. Tylko... kulka w roli doradcy – pomyślałam.

Patrzyłam zdumiona, jak kręci nad rybą tym swoim wahadkiem. Zdało mi się, że jakby nawet coś do niego mówiła.

LASKA Z CZARNEGO HEBANU

– Nie mogę się napatrzeć tym rzeźbom – Lola stała oczarowana przed bramą zamkową na zalanym słońcem placu. Ja byłam w Brzegu już wcześniej parę razy.

– Masz ich tu kolejno. Od Piasta, Siemowita, przez Mieszka, Kazimierza Wielkiego, po księcia budowniczego. W ich bibliotece nigdy nie brakowało mądrych ksiąg. Treść „Historii Polski” Macieja Miechowity, według której rycin są przedstawieni, była po prostu ich historią rodzinną. Najznakomitszych z dynastii umieścił tu ten pan naturalnej wielkości, w nieco zrolowanych pończochach, nad wejściem – Jerzy II z żoną Barbarą. Tak sam kazał wyrzeźbić siebie i swoich pradziadów – objaśniałam.

– Że to przetrwało do dzisiaj, to jakiś cud. Wojny, bombardowania –

Lola regulowała ostrość lornetki.

– Oni, Piastowie, kochali ten zamek. Tu i w Legnicy były ich główne siedziby. W siedemnastym wieku, gdy w czasie wojny trzydziestoletniej Szwedzi oblegli miasto, w zamku była tylko żona zmarłego księcia, Zofia. Wiesz, co zrobiła? Napisała po prostu list do generała szwedzkiego, żeby nie niszczył jej pięknego zamku, w którym mieszkają damy. On uznał jej argumenty i zamek oszczędził – mądrzyłam się.

– Były czasy dżentelmenów – Lola szalała już z aparatem fotograficznym. Słońce sprzyjało jej nadzwyczajnie.

– Tu obok, w podziemiach kościółka kazali się grzebać. Z bogactwa całego zamku do dziś nie dotrwało kompletnie nic. Tylko ich kamienie nagrobne i kości. Na szczęście nie przydały się nikomu zaradnemu.

Z czeluści niewielkiego okienka, wykutego w grubym murze bramy, wychyliła się kasjerka.

– Dziś zwiedzania nie ma. Konferencja naukowa. – objaśniła bez pytania, choć na murze bramy z daleka rzucał się w oczy plakat.

– „Piastowie w historii” – głosił. O to chodziło.

– Ale my na konferencję – wyjaśniłam uprzejmie.

Weszłyśmy w długie korytarze.

– To niesprawiedliwe. Nie wyglądamy na profesorki. Ciękawie, jak, jej zdaniem, one wyglądają – nie mogłam darować kobiecie z okienka. Obie miałyśmy na sobie nobliwe kostiumiki i koszulowe bluzki

– Cóż, ja tu tylko robię zdjęcia – Lola powtórzyła swoją ulubioną śpiewkę.

– Szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu słyszę od ciebie o jakiejś Karolinie. O Kazimierzu Wielkim tak. Wiem nawet sporo. Uczono mnie, że to on był ostatnim Piastem. Ale Karolina? W szkole nikt nie pisał na jej temat słowa – wróciła do naszej rozmowy w aucie.

– Powiem ci tylko, że brat Karoliny, Jerzy, zakończył śląską dynastię Piastów. Ona przeżyła go o kilkadziesiąt lat. Zmarła w pierwszej dekadzie osiemnastego wieku. Dla historii to jakby wczoraj. Pomyśl, mój dziadek widział na własne oczy syna Mickiewicza. Z kolei ten poeta urodził się pod koniec wieku, na początku którego księżniczka Karolina jeszcze żyła.

Od Mickiewicza dzieli ją niewiele więcej niż mnie od naszego wieszca. Tylko w drugą stronę.

Lola kręciła głową z niedowierzaniem.

– Karolina Piastówna żyła jeszcze trzysta lat po Kazimierzu Wielkim. Cały ten czas oni tu jeszcze byli – Lola powtarzała na głos.

– Byli i żyli. W Krakowie już nie, ale tu tak. We Wrocławiu, Legnicy i Brzegu. Długo jeszcze familia była. No, po prostu rodzina. Dynastia. Krew z krwi. Piastowie, czujesz? Panowali tu. Książętami byli.

– Czuję. Świetna wiadomość. Ale dlaczego dotąd tego nie wiedziałam?

– Może, żebyś musiała się zapytać mnie? – zauważyłam z beczelnym brakiem skromności. Także tej nocy śleczłam nad historią Śląska.

– Rzeczywiście, można tu się czuć jak na Wawelu. Takie same krużganki wewnątrz, po czworoboku – Lola wychylała się zza bariery na dziedziniec zamkowy.

– Bo na wzór Wawelu były budowane. Nie ma dyskusji, kto imponował budowniczemu. Najlepsze jest na zwieńczeniu bramy. Pokażę ci, jak wrócimy. Najwyżej, w honorowym punkcie, herb Zygmunta Augusta. Jagielloński. Herb Habsburgów, naczelnych wówczas władców Śląska, książę umieścił pod nim i mniejszych rozmiarów. Dość wymowne, wydaje się.

– Nawet jakby wyzywające – zgodziła się Lola.

W dole, na tarasie letniej kawiarenki, zaczynało się krzątanie. Powietrze pod arkadami zasnuło się już świeżym zapachem parzonej kawy. Słońce rozpoczynało dopiero codzienny

obchód dziedzińca, ale pod krużgankami zalegał jeszcze wychłodzony, nocny cień.

– Pies. Chciałam ci jeszcze pokazać psa. Może się nam uda przemknąć. Jest tu od niedawna. To znaczy jakiś czas temu wrócił. Do domu.

Na palcach, w obawie przed stukotem szpileczek, by nie niepokoić pani w okienku, skradałyśmy się wewnętrznym podcieniem drugiego piętra. Na posadzce wielki, szlachetny, angielski dog wpatrywał się kamiennym wzrokiem w dół podworca zamkowego. Lola na powrót wydobyła swoją słynną lustrzaną. Z ekscentrycznej, obszernej, ale damskiej, wcale nie profesjonalnej torby. Tym także mi imponowała. Żadnych specjalistycznych oznak, które z kilometra sugerują z jakim to wybitnym fotografikiem mamy do czynienia.

– Skąd on miałby tu się wziąć? – dochodziła i jednocześnie uważnie zdejmowała ujęcia.

– Czterysta lat temu pies księcia Jerzego II wpadł w euforię na powrót pana z dalekiej podróży i wyskoczył na jego widok z balkonu. Zabił się na oczach wszystkich. Księżę kazał wyrzeźbić posąg przyjaciela i postawić pośrodku dziedzińca, gdzie poległ. Dwieście lat później rzeźbę psa zabrał ze sobą do Cieplic na cmentarz kolejny, pruski namiestnik zamku. Wróciła niedawno. Kamień to porządny materiał. Przetrwał głównie on.

Dotknęłam szorstkiej, kamiennej sierści. Lola niezmordowanie pracowała.

– Gdzieś na wystawie mają tu zdjęcie, jak to wszystko wyglądało sto lat temu. Totalna, waląca się ruina. Po ostatniej wojnie, rzecz jasna, rozwałka była jeszcze lepsza. Że brama się uchowała, to naprawdę cud nadprzyrodzony.